

**Wychodzi w każdą
Sobotę.**
Cena prenumeracyjna
w całej Austrii:
rocznie 8 zlr.—półrocznie
4 zlr.—kwartalnie 2 zlr.
w Niemczech:
rocznie 5 tal.—półrocznie
2 tal. 15 sgr. kwartalnie
1 tal. 8 sgr.
we Francji:
rocznie 21 fr.—półrocznie
11 fr.—kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcja: Ulica
wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne agencje: we
Lwowie: księgarnia (K.
Wilda, w Krakowie
księgarnia J. Wilda, w
Poznaniu księgarnia J. K.
Żupańskiego o.

Rękopisy nie przyjęte
do druku zwracają się w ra-
zie zażądania.

Szanownych autorów
i nakładców, życzących so-
bie znaleźć w „Świcie”
wzmiankę lub rozbiór kry-
tyczny swych dzieł pro-
simy o nadślanianie Redak-
cyi egzemplarzy takowych

Treść: O satyrykach polskich XVII wieku, studium literackie przez Dr. Adama Belcikowskiego. — Z Wiktora Hugo: Jakim ma być poeta, przez Adama Pajgerta (wiersz). — Kalejdoskop, obrazy czasów i ludzi, przez Berlicza Sasa. (C. d.) — Głębia morza i głębia powietrza, przez dr. Tomasza Staneckiego. (C. d.) — Męczennicy fantazyi, nowella z niemieckiego Ludwika Foglara. (C. d.) — Radziwiłł w gościnie, anegdota dramatyczna w 3 aktach, przez J. I. Kraszewskiego. (Dok.) — Przegląd literatury dramatycznej. — Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

Od redakcyi.

Nadspodziewanie dobre przyjęcie, jakiego pismo nasze doznało u czytającej publiczności, pozwala nam dziś już rozszerzyć znacznie jego pierwotne rozmiary.

W prospekcie ogłosiliśmy, iż *Świt* będzie wychodził tygodniowo w objętości arkusza *in quarto* i tylko pragnąc, aby drugi kwartał rozpoczął się dla nas, jak dla wszystkich pism, z dniem 1go Kwietnia, wydawaliśmy w przeciągu Lutego i Marca tygodniowo półtora arkusza, tak aby czytelnicy z końcem Marca mieli w rękach całych dwanaście arkuszy druku.

Co więc dotychczas było nadzwyczajnym dodatkiem, stanie się odtąd stałym formatem *Świtu*.

Odtąd czytelnicy odbierać będą już niezmiennie półtora arkusza druku tygodniowo czyli 18 arkuszy kwartalnie, a w ślad za tem pierwszy kwartał, który miał się skończyć z upływem Marca, zostaje przedłużonym do ostatniego Kwietnia.

Mimo znacznie w skutek tego powiększonych kosztów nakładu, cena *Świtu* pozostaje niezmienną.

Postanowienie to jest wyrazem przyjętej przez nas zasady, ażeby każdy dochód z wydawnictwa obracać na jego ulepszenie zarówno pod względem formy, jak treści.

Lwów, dnia 15. Marca 1872.

O satyrykach polskich XVII wieku,

studium literackie

przez

Dr. Adama Belcikowskiego.

Na literaturze tej epoki sprawdził się znany axiomat, że ostateczności się stykają. W tym samym bowiem czasie, gdzie w życiu politycznym objawiało się pewnego rodzaju upodobanie błędów i wad, podkopujących fundamenta społeczeństwa, gdzie nie było końca wzajemnym pochwałom, uwielbieniu się i podnoszeniu pod niebiosa mierności lub napuszystej dumy, czyli w tym okresie pochlebnych dedykacji i szumnych panegiryków pojawiły się także najwięcej oburzeniem i żołąć napełnione, nienawiści swój czas smagające satyry. Są one niejako odwrotną stroną tego medalu, któremu po wierzchu starano się nadać połysk jak najświetniejszy. Autorowie tych satyr bezwiednie dopełniali obrazu swej epoki, mię-

szając do świetnych i jaskrawych barw, w których ją przedstawiano, koloryt czarny i cienie uderzające kontrastem. Czuli oni różnicę, jaka zachodziła między rzeczywistością a powszechną prawie opinią, dającą się najwyraźniej słyszeć w literaturze, a podnoszącą ludzi i wypadki nad ich wartość, ludzącą się pozorami. Pochlebstwo i zaślepienie wystawiające wszystko w różowej barwie i nieprzeczuwające następstw, obudziły w ich duszach żal i oburzenie.

Z tego to uczucia należy sobie tłómaczyć gorycz ówczesnych satyr. Przedstawiają one swoje społeczeństwo jego tak prywatne jak i publiczne życie, w tak niekorzystnym świetle, że gdyby wszystko, co swemu wiekowi

zarzucają, było prawdą, musielibyśmy stracić zupełnie dobre wyobrażenie o naszych przodkach z owych czasów. Ostrość jednakże tych rysów trzeba złagodzić, pamiętając na to, że wywołał ją bezwzględnie ten duch kontrastu, który chwyta się zawsze skrajnego zdania, również nie zupełnie sprawiedliwego, jeżeli dostrzeże, że wyobrażenia ogólne grzeszą jednostronnością i przesadą. Ani w panegirycznej literaturze XVII wieku, ani w satyrach nie ma bezwzględnej prawdy — szukać jej trzeba w pośrodku.

Do ówczesnych satyryków można zastosować wiersz, który A. Perzysusz położył kiedyś na czele swych satyr. Właśnie w tej epoce przełożono u nas pierwszy i ostatni raz tego ostrego przyganiacza obyczajów rzymskich, a przekładu tego dokonał Mar. Słonkiewicz, prof. akad. krak. 1651 r. Perzysusz stawiał sam siebie na biegunie przeciwnym ówczesnym poetom, którzy dymem pochwalnym kadzideł dobijali się łaski mecenasów, podobnie jak my dzisiaj stawiamy naszych satyryków na drugim krańcu małodusznych lub bezmyślnych panegirzystów:

„Anim ust zmoczył w zdroju Pegazowym,
Ani pamiętam snów na dwuwierzchowym
Parnasie, żebym zaraz siał wierszami.
Rzekę Pireńską bładą i z Muzami
Tym zostawuję, których obraz ziół
Swemi bluszcz zdobi: ja wieśniak na poły
Apollinowi wiersze swe przynoszę.
Papugę witać, kto sposobil prosię?
Kruków kto niegdy jak z pudła pozdrawiać,
Sroki kto uczył słów naszych wymawiać?
Mistrz słów uczonych i dowcipu dawca
Brzuch, z przyrodzenia słów niezwykłych sprawca...

Ten sam realizm, z jakim tu nie tai się a nawet chwali Perzysusz, zrywając z poetami a nawet poetycznym natchnieniem, ponieważ to pobudkom materyjalnym nieraz powodować się dało, stanowi także cechę satyryków XVII wieku, widną zarówno we formie niedbającej o artyzm poezji, częstokroć prozaicznej, jak i co do treści, kiedy zrywają wszelkie zasłony mogące pokryć szpetną nagość ludzi i ich życia.

Nim zaczniemy mówić o naszych satyrykach, nie od rzeczy będzie przyrzyć się, jakie też wyobrażenie miała o nas reszta Europy, jak nas gdzieindziej krytykowano i jakie w nas znajdowano złe strony. Od czasu kiedy tron polski stał się elekcyjnym, zaczęto się więcej nami zajmować, bo interesa innych mocarstw ze stanem i położeniem Polski ściślej się zespoliły. Właśnie około połowy XVII wieku pisano o nas dosyć za granicą. I tak pisał o stanie Polski Anglik Tomasz Lansius (przed r. 1655) w swojej Konsultacyi, dając zarówno pochwały jak i nagany. Chwalił nas Maksym. Mosch, ganili przeciwnie Achacy Oxelli i Hovol w swej angielskiej książce: Diet r. 1653.

Ale największej doniosłości było bez wątpienia zdanie szkockiego poety, słynnego na całą Europę Jana Barclaya. To nadto, co on o Polsce powiedział, było u nas najwięcej znane i wywołało nawet opozycję literacką. W historyczno-satyrycznym romansie swoim p. t. Satyricon Euphormionis Lusini, skreślił Barclay pogląd na charakter i obyczaje ludów europejskich p. t. Icon animorum praecipuarum nationum Europae. W rozdziale 8mym Ikonu mówi także o Polsce, naprzód o jej położeniu, o naturze i płodach ziemi, następnie o zwyczajach i charakterze narodowym.

„Życie Polacy po największej części twarde prowadzą — powiada Barclay — bo klimat u nich przykry, ani ich obyczaje nie posiadają oglady naszego wieku i ztąd niekiedy dzikiem jest ich usposobienie. W domach zaje-

zdnych przyjmują podróżnych w sposób odmienny od naszych krajów. Zaprowadzają ich do pustych izb, gdzie światło tylko przez szczeliny zrobione w ścianach się dostaje i które na wiatry i zimno są wystawione. Nie ma tam łóżek do spoczynku, ani stołu do jedzenia, ściany gesto zbite gwoździemi; na tych podróżni tłómoki swe po porządku zawieszają, na ziemi zaś ścielą wiele słomy i to zastępuje w owych domach gościnnych miejsce łóżek. Dlatego podróżujący w tym kraju tak się wybierają w drogę, jak gdyby cały dom z sobą nosili. Zabierają ze sobą żywności, łóżka na wozach przewożą, aby w owych nagich zajazdach mogli od głodu i zimna się uchronić. Narodowi temu wrodzona jest srogość i swawola, którą wolnością nazywają, do tego stopnia, że teraz dopiero znieśli barbarzyńskie prawo od wieków istniejące, według którego zabójca był wolny od kary i sądu, jeśli na ciało zabitego rzucił pewną ilość pieniędzy przez toż prawo oznaczoną. I nie ceniliby tak lekko życia ludzkiego, gdyby z wrodzonej srogości umysłu nie uważali wylania krwi ludzkiej za małe przestępstwo. Nienawidzą samego nawet nazwiska nietylko poddaństwa, ale nawet sprawiedliwej i prawej monarchii. Król do zachowania praw krajowych siłą i bronią bywa przymuszany. Szlachta siebie samą opłakanymi przywilejami obdarowała, aby według nich mogła nawzajem sobie krzywdy wyrządzać bezkarnie; królowi bowiem nie przysłuży prawo karania występków. Sobie samym nazbyt ufają; i takąż sama swawola jak w wolności, obyczajach i rubasznem życiu, panuje także w pojmowaniu religii i rzeczy świętych, o których wolno jest jak się podoba myśleć i mówić, ponieważ zarozumiałość nie pozwala mądrym być według cudzego zdania. Ztąd różność tam w umysłach i stek wszelkich odszczepieństw, jakie kiedykolwiek dawne wieki kalały. Każdy ma za bardzo wiele zaszczyt swej rodziny, szczególnie przed cudzoziemcami i nieznającymi ich stosunków. Skłonniejsi srożyć się niż oszukiwać i sami prędzej dadzą się zmódz podstępom niż przemocy.“

Takie wyobrażenie posiadała zagranica o Polsce. Barclay umiał często w swych twierdzeniach pochwycić prawdę, ale nie był wolny od uprzedzenia, które nieznajomość rzeczy za sobą sprowadzała. Dopiero 1648 r. wyszła odpowiedź na krytykę Barclaya. Napisał ją Łukasz Opaliński, później marszałek nadworny, brat młodszy satyryka Krzysztofa, który właśnie w ciągu 10 lat 1638 — 1648 cofnął się od życia publicznego i pisanem pożytecznych książek zajmował. Dzieło to wyszło po łacinie pod tytułem: Obrona Polski przeciw Janowi Barclay'owi (Gdańsk 1648), a Opaliński zbija w niem zdanie po zdaniu twierdzenia angielskiego pisarza, popierając swe dowody ustawami krajowemi i powagą autorów klasycznych (przycacza i greckich w oryginale).

Ale obrona jego nie zupełnie na korzyść Polski musiała wypaść, co spowodowało Bentkowskiego do powiedzenia, że „zleby było, gdyby każda obrona w ten sposób miała być pisana.“

Jeszcze wcześniej przed rozprawą Opalińskiego pojawiło się 1647 r. tłómaczenie Ikonu Barclayowego. Tak przynajmniej powiada tytuł. Tekst jednakże łaciński, tu przywziewany i przekład jego polski, oba w wierszach, odmiennie są od tekstu Barclayowego, który jest prozą pisany. Zdaje się, że autor wzięwszy sobie za tło Barclaya zmodyfikował jego zdania, odrzucając wszystko rażące lub przesadne i z własnego doświadczenia uczynił tę satyrę podobniejszą do rzeczywistości. Poetycznej wartości nie posiada żadnej, bo w krótkich wierszykach, w najprostszych zdaniach rzuca tylko rys po rysie.

Z WIKTORA HUGO:

Jakim ma być poeta?

Trzeba, żeby poeta, wpatrzony w błękity
Duch łagodny, co cienie ukochał i swity,
Co wąpiącym przyswieca, błędnym przewodniczy,
Którego drząc słuchają pieśni tajemniczej
Kobiety, marzyciele, mędry, kochankowie —
Umiał czasem być strasznym i miał piorun w słowie!...
A jeśli myśl nad jego księgą się rozmarzy,
Co krzepi, cieszy, pieści i pokojem darzy,
Gdzie dusza co krok znajdzie zkadby zbierać miody,
Gdzie i kąt najciemniejszy ma promień pogody,
Wśród poezji, co razem skromna i podniosła,
Jako ustron uroczą kwiatami porośla,

Gdzie słychać łzę co spada i mrużenia zroju,
Gdzie strofy jako ptaszki w pysznych piórek stroju,
Leca, śpiewając miłość, radość i nadzieję —
Niechaj czasem się nagle od trwogi truchleje,
Gdy, jak zwierzę, co przechodnia dreszczem strachu ziębi,
Z groźnym rykiem ponury wiersz wypadnie z głębi!
Poeta być powinien jak bór pierwotny,
Bujny, świeży, zielony, w tysiąc nasion płodny,
Pełen pieśni i woni, gdzie gąszcze przenika
Blask słońca, lecz się czasem nagle lwa spotyka.

Adam Pajgert.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

V.

Projekt spaceru okrętem — Porównanie marynarki moskiewskiej
za Aleksandra Igo i za Mikołaja. — Uczta na pokładzie
i wiatowa kanonada. — Powrót do Odessy.

Nie pomnę już *in gratiam* czego przyszła myśl
p. Markowi Sarneckiemu wyprawić wielką ucztę
na okręcie. Z powodu bliskiej znajomości ze starszą
odesską brandwachty postanowił na jej pokładzie
swoją projekt uskutecznić. Zaczęły się tedy negocjacje
z dowódcą rzeczonoż statku, kapitanem Popondopolo,
za pośrednictwem jego oficerów Skarabellego
i Zajcewskiego. Gdyby się p. Sarnecki ograniczył
jednym tylko obiadem, rzecz dałaby się załatwić w dwóch
słowach, lecz nie był to człowiek przestający na małym.
Zachciało się jemu koniecznie spaceru okrętem i to
jeszcze za rejon portowej granicy aż na wysokie morze —
a że brandwachta skutkiem natury swej służbowej
funkcji pozbawiona była prawa samowolnego wydalenia
się z portu, nie dziwnego, że układy szły oporem. Po-
cziwy kapitan wypraszał się, zżymał, a nawet niecier-
pliwił. Tego mało, zatykał sobie uszy i niebaczny ani
na swój szósty krzyżyk, ani na ciężar przeważnej tuszy
z lekkością sylfa od natrętnych nalegań uciekał. Niepo-
pomogło! musiał w końcu zgodzić się, przekroczyć naj-
głośniejszą zasadę swego oficjalnego mandatu i spacer
okrętem został solennie uchwalony.

Z tego faktu, mało znaczącego na pozór, można
wziąć miarę, jak słabo kontrolowano za Aleksandra Igo
ład administracyjny floty, oraz jej dyscyplinarną uległość
przepisom morskiego kodeksu. Kiedy armia kontynen-
talna była bogdaj czy nie najpierwszym przedmiotem tro-
skliwości rządu, siły morskie zostawały w zupełnej po-
niewierze, jakby rzecz podrzędna, obca politycznym
potrzebom i dążeniom kraju. Niebacznie budowane
i nadwątlone wiekiem okręty, włoczyły mozolnie wzdłuż
pontyjskich wybrzeży spłowiła banderę carską, odleglej-
szej nie wając się przedsiębrać żeglugi. Kapitanowie
byli po większej części rutyniści starej nautycznej szkoły.
Admirałowie mało co więcej od nich umieli. Ten brak
rządowego względu dla floty spowodował upadek jej
ducha, a tem samem i rozprzężenie się karność. Pra-

wdziwym wskrzesicielem marynarki moskiewskiej był car
Mikołaj. Dzielnym bodźcem sprężystej woli pchnął on ją
naprzód, ujął w karby, szeroko rozwinął. Cherson, Miko-
łajów, Rostów, Petersburg i Kronstadt zakipiały czyn-
nością zdolnych i długiem wpatrywaniem się w najcel-
niejsze wzory nautycznego budownictwa wydoskonalonych
inżynierów. Warsztaty Francji, Anglii, a zwłaszcza
Ameryki stały się przedmiotem głębokich studyów, któ-
remi oświeceni kształcili moskiewscy marynarze młódz
swego kraju na dobrych i biegłych żeglarzy. Krusen-
stern, Bellingshausen, Greigh, Łazarew, ludzie
europejskiej sławy, *) wielcy specjaliści morza stanęli
na czele floty. Pierwsi dwaj znani w uczonym świecie
z podróży swoich kręgoziemnych, wysoko cenionych.
Ostatnich dwóch biegłość administracyjna i techniczna
nie pozostawiała do żądania. Z ich to szkoły wyszli
za Mikołaja admirałowie Hayden, Lütke, Kornio-
łow, Nachimow, Istomin, godni naśladowcy takich
wzorów. Hayden dowodził mężnie w r. 1827 pod Na-
warynem. Lütke pisał nautyczne dzieła i podróże.
Trzej ostatni gorliwi strażnicy ducha i karność morskiego

*) Nie sądzę, żeby mi wyrzucano sprawiedliwość, jaką oddaje
znakomitościom do przeciwno nam obozu należącym. Wed-
ług mnie nieprzyjacielowi nawet należy się uznanie, skoro
na takowe zasługuje. Wreszcie ludzie tacy jak Bellings-
hausen, Krusenstern i Greigh nie mogli być
w gruncie nieprzyjaciółmi naszej sprawy, albowiem żeby
jej nie uszanować trzeba być albo kompletnie głupim, albo
kompletnie złym, a oni takimi nie byli. Po moim powro-
cie z Kaukazu w r. 1847 do Petersburga traf szczęśliwy
zbliżył mnie z sędziwym admirałem Bellingshausenem.
Był wtedy generał-gubernatorem Kronsztadtu, gdzie go
dostę często odwiedzałem. Korna cierpliwość, z jaką kilko-
dziesiąt jego narracji o lądach i morzach słuchałem, zje-
dłała mi wzgląd jego przychylny. Przywiązał się staruszek
do mnie całą siłą swej wielomówności, całą potrzebą prze-
lania do czyjejs duszy uroczystego żalu po dobach świetnej
przeszłości, którą za sobą zostawił. Pamiętam, że kiedyś
odjeżdżał z Petersburga i z pożegnalną wizytą do Kron-
szadtu pośpieszył, pobłogosławił mi na drogę i rzekł, cisnąc
rękę moją: „Je suis peiné de Votre départ. J'ai trouvé
en Vous ce qui ne se laisse trouver, que dans une âme
polonoise — dignité et délicatesse. Ce sont vos qualités
nationales.“

Czy były to słowa wroga Polaków?

ludu, padli pod Sewastopolem, nie chcąc przeżyć czar-
nomorskiej floty, którą car zatopić kazał. Nie udało
się panu Sarneckiemu w tym peryodzie żelaznej
dyscypliny służbowej skłonić kapitana brandwacht
do kroku, co, nań ściągnął bogdaj czy nie wieczną ka-
torhę, jeżeli nawet nie karę śmierci. Lecz w r. 1822
działo się inaczej. Poczciwy Epikurejczyk Popondo-
poło, który u pana Sarneckiego tyle smacznych
obiadków skonsumował i tyle fasz przedniego szampa
wysuszył, machnął ręką na groźną interdykcję morskiej
dyscyplinarnej ustawy i pomyślał zapewne sposobem
fatalistów: Jakoś to będzie! dozwolił swojej niewol-
niczej fregacie przewietrzyć się trochę.

W dniu naznaczonym zaczęli się zgromadzać u nas
liczni zaproszeni. Całe niemal miejscowe i podrózne
towarzystwo, bliższymi stosunki z domem naszym połą-
czone, pospieszyło na hasło morskiej fety, do której, ma
się rozumieć, uprzejmy i bogaty amfitryon, pan M. Sar-
necki, należycie się przygotował. Kilkanaście wielkich
łodzi przewiozło nas na brandwachcie, gdzie zastaliśmy
już stół ogromny wykwintnie ubrany i zajmujący całą
prawie długość pokładu. Majtkowie stali na rejach.
Kapitan z oficerami przyjmował gości u wchodowej dra-
binki. Jenerałom de Langeron i Wittowi oddano
wojskowe honory. Damom rozesłano kobierce pod nogi
i ofiarowano przesłiczne bukiety. Dziwnie jakoś odbijały
te wonne kwiaty, te barwiste dywany i ten stół srebrem,
kryształem i śnieżną tkaniną białizny świecący, obok smol-
nych desek pokładu, lin i powrozów dziegiem obrudzo-
nych i groźnej baterii 30 armat, zdających się przeczyć
spokojnym i niewinnym uciechom przyjacielskiej biesiady.
Sama nawet grzeczność oficerów, pełna hołdowej uprzej-
mości dla dam naszego grona, miała swą oryginalność,
żeby nie powiedzieć swoją niewłaściwość w tem miejscu
i pośród tych dzikich twarzy okrętowego ludu, co się
z wyrazem podziwu świetnemu orszakowi powabnych
i malowniczo wystrojonych kobiet ciekawie przyglądał.

Na dane hasło do zdjęcia się z kotwicy skoczyli
majtkowie do kabestana. Inni wbiegli na bukszpryt
dla uregulowania przodowych trójkątnych płócien kiero-
wniczych. Inni znowu rozsypali się po rejach, lub za-
wieszeni gdyby pajaki na swoich niciach, rozpuszczali
pętle i węzły krepujące swobodę żagli. Był to widok
rzeczywiście zajmujący a dla nas nowicyuszów niezwykły.
Ten ruch ogólny, gorączkowy, pozornie chaotyczny, cho-
ciaż realnie porządkowy, bo systematyczną działalnością
chwilowej potrzeby określony, miał w sobie coś podnie-
cającego młodą wyobraźnię, jaką była moja. Wkrótce
zaskrzypiał kabestan, zadrgała fregata radością odzy-
skanej wolności i głośnie ura! całego ekipażu powitało
ciężkie wznoszenie się kotwicy, osnutej siecią traw pod-
wodnych i opruszonej żwirem otchłani.

I w tejże chwili posłuszna hasłu rudla zawróciła
fregata ku stronie wysokiego morza i pochwyciwszy wiatr
białemi skrzydłami popłynęła.

Dzień był pogodny. Na morzu było spokojnie.
Dalekie zarysy brzegów blask fioletoowy oblekał. W tajem-
nicznej głębi nieboskłonu lazurem świecącej i złotem,
tonęła powódź Euksyńskiego Pontu, unosząc statek nasz
powiewający barwistemi bandery i flagi.

Zachwyt mój był nie do opisania, tembardziej, że
powód onego był dla mnie zupełnie nowym. Przestrzeń
wciągała mnie do siebie — ludziła czarownemi mamidły
czegoś nie dającego się wyrazić ani nawet porządnie
w myśli uszykować. Jakies promieniste *fata morgana*
migały przedemną na wysokościach empireju wyobraźni,
nieznającej jeszcze wędzidła rozumnej woli, a więc bez-
rozumnej i dziwacznej. Jakaś błogość nad pojęcie kra-

żyła we mnie żywotnym strumieniem. Rad byłbym
płynąć daleko! płynąć bez końca! Dokąd? mniejsza!
byle nie nazad! I cóż dziwnego? Byłem dzieckiem i nigdy
nie żeglowałem po morzu.

Kiedy usadowiono się do uczty, rozpoczęły się
urwane dialogi, wesołe szczebiotanie kobiece, poważniej-
sze rozmowy męczyzn. Hr. de Langeron nakreślił
kilka mistrzowskich szkiców morskiego życia, którego
doświadczył za młodu, gdy towarzyszył jenerałowi Ro-
chambeau na wojnę amerykańską o niepodległość. Po-
pondopoło, niepasowany przez naturę na mistrza
słowa, wyjąkał, plując *à babord et à tribord* *) (jak się
wyrażał nie bez ironii Skarabelli) jakąś niezwiązaną rela-
cję o wyspach archipelagu greckiego, do których nie
wiem z jakiej się racyi uczepił. Skończył już a nikt się
jeszcze nie domyślał, że wątek narracyi dosnuły. Jak
nie ma melodyi bez finalnego akordu, tak też i być nie
może narracyi bez jakiegobądźkolwiek rozwiązania. Cny
kapitan był jednak, jak się pokazuje, innej zupełnie opi-
nii, bo urwał nagle i ostatecznie kolejne następstwo
peryodów i zamiast zaspokoić oczekiwanie słuchaczy,
wolał raczej zaspokoić własne bachusowe pociągi ku
wdziękowi flaszy szambertena, co go wystrzeloną kibicią
swoją i rubinowymi polyski wnętrza czarowała. Skrzy-
żowały się żrenice biesiadujących i mocna ironia prze-
biegła po ustach, lecz pozostała niema, bo tego społe-
czne *decorum* wymagało. Wacław Emir-Rzewuski prze-
rwał pierwszy milczenie gestą salwą dowcipnych tranzyty
idealnych z werwą istnie francuską wyrażonych. Hr. de
Langeron wtórzył jemu po mistrzowsku syjąc żywe
concelti i kalambury jak z rękawa. Witt szukał dowcipu
i nie znajdował. Ludwik Sobański, Feliks Ciszewski,
Antoni Czarkowski i Anastazy Grodecki, ukraińscy oby-
watele, (którzy, jak się pokazało później, byli już wtedy
czynnymi członkami spisku Pestela i komisarzami pol-
skiego towarzystwa), nie wstępowali w szranki tego
oralnego turnieju, poważniejszą zajęci rozmową z konsu-
lami Tomem i De Ribasem, ludźmi znakomitej inteli-
gencji i świetnego ukształcenia. A Michał Skibicki (co
w kilka lat potem był w Ameryce adjutantem Boliwara),
siedząc na końcu stołu zbierał bacznie wzorki na mate-
ryał do ostrej satyry, którą w umyśle układał, nim
przeleżał na papier.

Kiedy się to działo, okręt nasz zaczął opisywać
szeroki segment koła, jakby dla uniknięcia mielizny,
lub skały podwodnej, a że ten manewr nautyczny wy-
magał pewnej modyfikacyi w usroju żagli, ruch wielki
powstał pomiędzy majtkami, a oficerowie przerwali na
chwilę swoje gastronomiczne uciechy dla obowiązku
służby.

Z racyi tego zdarzenia uczta wkroczyła w nową
fazę, inny charakter przybrała. Stała się mniej wielo-
mowną, więcej kontemplacyjną i poetyczną. Zaniechano
lekkiej gierylasówki słowa, chłodnej utarczki dowcipu,
a zwrócono więcej baczenia na stronę obrazową żeglugi,
odbywającą się pośród rozległej panoramy pontyjskich
wybrzeży. Fioletowemi barwy owiane migały nam w dali
przymorskie kolonie niemieckie i odeskie futury gestymi
klomby drzew powiewające. Z prawej strony sterczała
na skalistej podstawie wysoka wieża fanaru i sinym
zarysem biegła stroma krawędź ładu w dal tajemniczą
przestrzeni. Z lewej roztaczał się step bez granic, pia-
szczystymi wydmy najeżony, a na ostatecznym krańcu
morskiego horyzontu majaczyły w przeźroczach eteru
niepewne kontury gór Tauryd przyrmatycznymi blaski

*) Na lewo — na prawo — termina nautyczne francuskie.

jaśniejące, rzekłbyś feeryczne utwory fantazyi młodzieńczej, Atlantyda ułudy i pokoju.

Nie było takiego, co by się nie zachwycił tą wielką sceną natury. Moja ciotka Sobańska, księżna Sutzo, pani Korsi i panna de Maubeuge, żywą poetycznością obdarzone, witały ją słowy podziwu i uniesienia. Lecz gościnny promotor fety, p. Sarnecki, lubo sam gorący miłośnik krajobrazu, nie mógł wszakże być obojętnym na to pogrążenie się towarzystwa w naturze z oczywistą krzywdą bankietu. On nie mógł dopuścić, żeby tyle przewybornych specyałów kuchennego kunsztu, tyle smaczkowitych tortów, kremów, marcepanów, godnych Lukulla i Trimalcyona, pozostało nieocenionych i nietkniętych. Skinał więc na służbę, żeby napełniła kielichy szampanem. Szepnął coś na ucho kapitanowi okrętu. Potem wstał z miejsca swojego i wznosząc puhar do góry zawołał donośnie:

— Zdrowie dam!

Na to hasło zaniechano poetycznej kontemplacyi i toast hołdowny zabrzmiał we wszystkich ustach. I w tejże chwili nagły grom armat potrzaskł okrętem. Po lewej baterji uderzyła prawa i gesty obłok dymu zawisł nad pokładem. Krzyknęły trwóźnie damy, przerażone tą huczną niespodzianką. Lecz niebaczny na to i pragnący przedewszystkiem uczcić tych z gości swoich, co wyłącznego jego szacunku przedmiotem byli, p. Sarnecki coraz inne wznosił kolejną wiaty, to hr. Langezona, to hr. Witta, to ks. Sutzo, to konsulów austriackiego i neapolitańskiego, nie zapominając i ukraińskiego obywatelstwa, licznie i zacień podczas fety reprezentowanego. Nie było więc końca salwom armatnim, które się odległem echem w załomach skał brzegowych głucho powtarzały, coraz gestszą kotarą dymu zaścielać morze i niebo i okręt buchający płomieniem i nas żeglujących gromadnie pod jasną banderą pokoju i wesela, tych uroczych, chociaż tak znikomych zjawisk docześni.

Ten ruch, zgiełk, grom — ta pełnia działalności i życia kipiła dokoła udzieliły skrzydeł wyobraźni mojej dziecinnej. Czytałem o piratach i flibustyerach oceanu, cóż dziwnego, że natchniony poetycznymi przygodami ich

awanturniczego męstwa przeniosłem część wrażeń moich na obecną żeglugę naszą. Gdyby się okręt jaki nawinał z nienacka, wziąłbym go niezawodnie za nawę korsarską i wyobraziłbym sobie, że uczestniczę w prawdziwej bitwie morskiej.

Kiedy p. Sarnecki swoją litanię wiatów zakończył, dano nareszcie pokój i biednym armatom. Dymy nowymi wystrzały niepodsypane zaczęły rozdzierać się na szmaty, rozdzielać na strzępki, rozpląwać w eterze i odkrywać olbrzymie *proscenium* Pontu, którego dekoracye przedstawiały nowe już zupełnie obrazy nie tymi, co przedtem, blaski oświecone. Słońce skłaniało się ku morzu — staczało, jak ognista kula z wyżyn *empireju*, rumieniąc padły świata jaskrawym szkarłatem, przechodzącym nieznacznie w harmonijne odcienia tęczy. Na całej powierzchni morza migły jakby fosforyczne połyski. Były to lśniące odbicia zachodu w szklanych przeźroczach fali — pożegnalne dary słońca dziewiczym nereidom Euxynu.

Po dziennym skwarze ożywiło się powietrze balsamiczną świeżością wieczoru, w której się kąpały rozkosznie zefiry morza — które i my wciągaliśmy chciwie z oddechem, jakby napój żywotnego jakiegoś źródła.

Nadeszła nakoniec chwila powrotu. Zaświstały hasła komendy i rój majtków wyskoczył na liny. Gdy zorientowano żagle stosownie do gotującego się manewru, sternik naparł na rudłowe koło i posłuszna fregata zaczęła opisywać poważnie łuk szeroki, zmierzając ku odesskiej rejdzie, dokąd ją wiatr wschodni pospiesznie unosił.

Tak się zakończył ów dzień czystej uciechy, klejnot dziecinnej doby mojej! Widzę go jeszcze na dnie topieli czasów. Widzę jego łudzące barwy, promieniste połyski. Widzę — a jednak wyostać go z głębi nie mogę! Po tym dniu były inne, osnute kwieciami nadziei i marzeń edeńskich — lecz te nadzieje były szalem rozumu — te mary błędem jasnowidzenia serca. Rozczarowanie zatruło pamięć dni owych — mniej zatem doświadczam żalu po nich — mniej daleko! Niech mierzchną w otchłani przeszłości, nad którą i ja stoję już pochylony oczekując tylko skinienia woli przedwiecznej!

(C. d. n.)

Głębia morza i głębia powietrza,

przez

Dr. TOMASZA STANECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Brooke, oficer od marynarki północno-amerykańskiej, wynalazł nowy batometr, zapomocą którego można także rozpoznać jakość gruntu podmorskiego. Wystawmy sobie wałek drewniany pionowo wiszący na końcu zapuszczonego sznura, mający w dolnej podstawie małe wydrążenie, woskiem albo łojem zapełnione, a przy górnym końcu opatrzone dwoma ramionkami, które na wspólnej osi, prostopadłej do długości wałka, łatwo obracać się mogą, podobnie jak skrzydła u telegrafów sygnałowych przy kolei żelaznej. Wałek ten przetrknięty jest przez kulę żelazną środkiem na wylot przewierconą. Ponieważ średnica otworu w kuli jest większa od grubości wałka, podtrzymuje kulę mała obręczka, do której przywiązane są dwa sznurki, kluczkami na haczykach u rzeźbionych ramionek zawieszane. Dopóki aparat spada, ramionka obrócone są do góry, gdyż do nich przytwierdzony jest sznur, mierzący głębie; skoro jednak wałek stanie na dnie, kula ciężarem swym schyla ramionka na dół,

kluczki sznurków, które ją trzymały, zsuwają się z haczyków, a wałek pozbawiony się kuli wymyka się szybko na powierzchnię morza i pokazuje próbki zaścieli lub gruntu przyczepione do wosku.

Brooke'go batometrem posługiwał się Maury, dyrektor waszyngtońskiego obserwatorium, robiąc poszukiwania w oceanie atlantyckim. Owocem jego mozolnej pracy jest karta wyobrażająca kotlinę tegoż morza, pod względem dokładności niewiele ustępująca kartom Australii i wyżyn środkowej Azji. Olbrzymie koryto, które rozdziela lądy starego i nowego świata, przedstawia wklęsłość, w obec której plastyka tych lądów okazuje się o wiele skromniejszą. Dość porównać rozległe obszary na 20.000 stóp głębokie z wyżynami Azji 8.000 do 10.000 stóp wysekimi, albo straszne przepaści, których głębokość wyrównywa wysokości najwyższej góry amerykańskiej!

Pomiędzy nową Fundlandią a Irlandią rozparło się płaskowzgórze, 3.000 kilometrów długie, 700 kilometrów szerokie i tylko 3 do 4 kilometrów od powierzchni morza uchylone. Pierwsze rozpatrywanie tej wyżyny podwodnej, zwanej także telegraficzną, z powodu, iż na niej ciągną się druty przewodnie telegrafu zaatlantyckiego, odbywało się w r. 1854. Berryman uzupełnił te operacje w r. 1856, Dayman wykonał je ponownie w r. 1857. Próbkę gruntu, których rozpoznawaniem zajmowali się Bailey w West-Point i Ehrenberg w Berlinie, wykazały zaściel złożoną z mikroskopicznych skorupek i z okrzemek. Okazy tych skorupek były wcale nie uszkodzone, z czego wnosić wypada, że wody morskie w tej głębokości całkiem są spokojne.

Odnoga meksykańska nie ma większej głębi nad 5.280 stóp; w odległości 30 mil geogr. na północ od półwyspu Yucatan osiągnięto gruntu w głębokości 104 sążni. Morze Karaibskie jest głębsze; w pobliżu przemyka Panamy znaleziono głębiznę, 2.000 sążni przenoszącą. Morze niemieckie najpłytsze jest w cieśninie Kalańskiej; ku północy zwiększa się jego głębokość. Na przestrzeni pomiędzy Irlandią a Hiszpanią topiel sięga do 100 sążni; 20 mil geogr. na zachód od Erris Head już mierzy 1.380 sążni.

Morze bałtyckie jest tylko 30 do 40 sążni głębokie; pomiędzy wyspą Gotlandią a Windawą odkryto znaczną wklęsłość, ołowianka musi tam przebiec 140 sążni, zanim dna dosięgnie. Największe głębizny w odnodze botnickiej wynoszą 67 do 100 sążni, w odnodze fińskiej 70 sążni. Morze śródziemne ma dno bardzo pozaginane. Saussure sondując głębie koło Nizy potrzebował sznura 1 kilometr długiego. Między Dalmacją a ujściem rzeki Padu średnia głębokość wynosi 44 metrów. Smyth znalazł w cieśninie Gibraltarskiej głębie od 300 do 900 metrów, między Gibraltarem a Ceutą 1.800 metrów. Pomiarzy wykonane między wyspą Rodus i Aleksandryą okazały głębie 3.000 metrów, między Aleksandryą i Kandyą 3.100 metrów, w odległości 165 kilometrów na wschód od Malty głębiznę 4.000 metrów.

Północne morze lodowate zdaje się być nie bardzo głębokiem. Począwszy od brzegów Syberji pochyla się dno tego morza nieznacznie, tak że w odległości 280 kilometrów od lądu Wrangel znalazł głębokość 25 do 30 metrów. W odnodze baffińskiej Kane zapuścił batometr do 3.500 metrów. Kotlina oceanu Spokojnego jeszcze mało jest znana. Największą głębiznę 4.940 metrów zmierzył Brooke pod 69° szer. północnej a 166° dług. wschodniej. Profesor Bache zastosował teorię ruchu falowego do bałwanów, które podczas trzęsienia ziemi od brzegów Japonii snuły się aż do Kalifornii, doszedł do tego wypadku, że średnia głębokość tej części oceanu spokojnego wynosi 4.330 metrów.

W morzu koralowem znalazł Brooke pod 13° szer. połud. i 160° dług. wschod. otchłań blisko pół mili głęboką. Próbkę zaścieli wydobyte batometrem z głębi 5 do

6-kilometrów rozpatrywał Ehrenberg i znalazł w nich 135 form odmiennych, a między temi 22 nowych. W ogólności na dnie oceanu atlantyckiego znajduje się więcej skorupki wapnistych, na dnie zaś oceanu Spokojnego więcej krzemienistych.

Lecz dosyć tych szczegółów. Wieki jeszcze upłyną, zanim wytrwałość badawcza pokona wszystkie trudności, zanim geografia fizyczna poda dokładny obraz kształtu wszystkich den morskich i oznaczy ilość wód słonych na naszym planecie rozlanych. Ale te wody nie są, jak dawniej mniemano, masą martwą, bierną, podlegającą zmiennym prawom. Jak w całym świecie tak i tu panuje ład i harmonia; ocean, to podziwienią godny organizm, mający olbrzymie tętnice i żyły w bystrzych prądach i powolniejszych przelewach, ogrzewający się ciepłem słońca i wytwarzający własne ciepło; w niezmiernej spraw chemicznych pracowni drgający życiem w nieprzeliczonych form odmianach, stopniujących się od mikroskopicznie drobnicznych wymoczków aż do potwornych olbrotowców, od bezkształtnej pierwoszczy aż do najdoskonalszych ustrojów!

Czy tylko narzędziem mierniczem człowiek sięga w otchłań wodne, a sam się nie zapuszcza? O! nie małym haraczem życia ludzkiego opłaca on oceanom wdzieranie się ciekawości naukowej w ich tajnie, wdzieranie się chciwości przemysłowej w ich nurty celem wydobycia perłopławów, koralu i gąbki.

Największa głębokość, w której nurek wykonywać może robotę, nie przechodzi 45 stóp, już bowiem w głębokości 30 stóp doznaje ciśnienia od wody dwa razy tak wielkiego, jak od atmosfery na powierzchni morza. Nurkowie indyjscy, poławiając perłopławy, zatrzymują się pod wodą zaledwie pół minuty i jeżeli sprzyja pogoda w ciągu przedpołudnia spuszcza się 15 do 20 razy, w przeciwnym razie tylko cztery lub pięć razy. Jakkolwiek połów odbywa się tylko w lutym i w marcu i to jedynie w dniach roboczych, których liczba w wymienionych miesiącach według kalendarza indyjskiego różni się prawie liczbie dni świątecznych, praktyka tego rodzaju jest przecież dla tych biednych ludzi zgubną. Rzadko który nurek dożyje podeszłego wieku. Wzrok ich tępieje, całe ciało pokrywa się ranami. Iluż to ginie w nurlach z zaduszenia albo w skutek udaru, iluż staje się łupem żarłoków ludojadów! Nauka przyszła w pomoc podwodnym robotnikom przyrządami, które im pozwalają spuszczać się w większe głębizny, do 150 stóp i tam przebywać nawet przez całą godzinę. Najdawniejszym takim aparatem jest dzwon nurkowy; później wynaleziono skafandrę, odzienie nieprzemakalne z długim węzłem kauczukowym do zaczerpywania powietrza z ponad wody, a w nowszym czasie worki kauczukowe napełnione zgęszczonym powietrzem, które rurką elastyczną dostaje się do ust nurka. Mimo tych wszystkich przyrządów nie może się człowiek zapuścić tak głęboko pod powierzchnię morza, jak tego dokazał wielokrotnie w kopalniach. (C. d. n.)

MECZENNICZY FANTAZJI,

NOVELLA

z niemieckiego

LUDWIK FOGLEAR.

(Ciąg dalszy.)

I Fryderyk też niedotrzymał długo w komnacie, teraz okropnie dla niego opustoszałej, szybko poskładał

najniezbędniejsze rzeczy, ściągnął rzemyczany tłomoczek, ujął torbę podróżną i nim dogasający księżyc pobladł

do reszty nad szemrzącymi topolami już odmykał furtkę ogrodową, po raz ostatni — skinał jeszcze znak pożegnany domownikom, rzucił wilgotne oko na drogę swoje drzewa, na ławkę ogrodową, na okno powojem oplecione... na studnię w dziedzińcu i gołębnik... i wyszedł nocą miesięczną... pełną uroku niknących cieniów — i pierwszej mgły porannej. Zatrzymał się jeszcze na pobliskim wzgórku, wyteżył ramiona ku dachom tych domków upowitych w zieleni, potem szybkim chodem rzucił się naprzód, jak człowiek, który się odrywa od drogiego sobie przedmiotu, od miejsca, gdzie najlepsza część życia jego została.

Wędrować nocą cichą, miesięczną, oddychając spokojem natury, otoczonym czarowną samotnią, samemu sobie będąc zagadką i cudem, w obec cudów wszechświata, bez związku z zewnętrznym życiem, przepadając w nieskończoności przestworach, jest to rozkosz, którą jedna tylko, pełna wiary młodość, czuć zdolna! Wędrowiec nasz w bliskim miasteczku stanął u dawnego kolegi, spoczął i ztamtąd jeszcze całą rzewną duszę wylał w liście do matki, który się kończył słowami:

„Warto jest cierpieć w padole żywota
„Dokąd nas słońce cieszy promieniami,
„Dokąd drży wspomnień aureola złota
„I jedno! chociaż!... oko — płacze z nami!...“

Nazajutrz po całonocnej wędrowce ujrzał wstęgę Menu i wychodzące wieże Frankfurtu. Był to czas, nie zbyt odległy, kiedy ochocza i krzepka młodzież pieszo odbywała wędrowki, zwolna a gruntownie poznawała kraje i z większą pełnią użyć mogła podróży.

Cudowne, nieokreślone powinowactwo ducha zbliża podobne sobie sympatyczne natury równie szybko, równie gwałtownie, jak wstręt i nienawiść odpychają je od siebie.

Poznanie się, na które miernym, żółtym naturom całych lat i beczek soli potrzeba, u natur uzdolnionych duchowo a energicznych dzieje się w godzinie — w okamgnieniu czasem, jest raczej przecuciem się, niż poznawaniem.

Fryderyk ledwie pół dnia przebył w domu frankfurckiego kupca Jakóba Gontard — a już kierunki, w których całe przedziwo jego losu wyteżało wszystkie nitki swoje, były mu tak jasne, tak widoczne, że tegoż wieczora jeszcze list do drogiej matki mógł zakończyć słowami:

„Podkreśl droga mamó datę tego listu, jest ona zwrotnikową datą mego życia!“

I nikt lepiej od matki nie pojął całego znaczenia tych słów synowskich.

Kupiec Gontard, jeden z najznaczniejszych w Frankfurcie, poważany, poszukiwany, a niejednemu groźny, zawdzięczał stanowisko swoje szczęśliwemu zbiegowi okoliczności a głównie zmysłowi praktycznemu, umiejącemu wszystko podnieść i dotknąć ze strony użytecznej, wyzyskać wszelkie przypadki i okoliczności: charakter odznaczający po wszystkie czasy ludzi praktycznych zawodów.

Gontard widział w zysku cały cel życia — w sobie podziwiał sam twórcę swojej pomyślności i to nie było mu wystarczającym, ale wzniecało w nim żądze coraz większych nabytków, rozgłosu, znaczenia, kredytu, który mu zastępował sławę, wpływu — potęgę. Krótko i szybko poznawał i siebie dawał poznać. Tak było i z Fryderykiem. Miał mu do powierzenia wychowanie dwóch chłopców między siedmiu a dziesięciu laty. Przedstawił mu surowych żaków, skoro ich dopadł i rzekł krótko a węzłowato:

— Wielki czas, żeby te smarkacze poczuły mężką rękę. Niech doktor postępuje z nimi według swego widzenia rzeczy. Mój czas oddany moim interesom, sprawom publicznym... niewiele go mam dla rodziny... zbywa mi także na wyrozumieniu i cierpliwości. Moja żona za słaba, za łagodna, niepraktyczna, dorosłym imponuje swoim rozumem, wykształceniem i smakiem wytwornym, ale w obec dzieci nie ma ani taktu ani surowości, jednym słowem zbywa jej na tem, co zowie Francuz *le sens commun*. Bardzo się w tem różnimy. Moja żona jest przepaścistą idealistką, ja zaś co dzień widzę bardziej konieczność realizmu i jest to z mej strony wielkiem ustępstwem dla niepoprawnej ludzkiej natury, jeżeli w koło siebie ścierpieć zdołam atmosferę metafizyczną i jeżeli czasem słucham jej cierpliwie, jakbym ją brał na seryo. To W. Panu da poznać zarazem, jaki kierunek wyznaczam wychowaniu moich dzieci. Przebóg tylko nie marzycieli!... W kobiecie jeszcze to znieść można, gdy się ją trzyma w karbach, ale w mężczyźnie jest nie do darowania! Mojej żonie Grecy i Rzymianie głowę przewrócili, gdyby była mężczyzną, zdaje mi się, żeby Delfickie wyrocznie i igrzyska Olimpijskie na nowo zaprowadziła i z Platonem odprawiała by Symposion. Tego rodzaju natury samolubnie wyłączają się od obowiązków życia, obojętna im obecność, a nie mają związku z przeszłością.

— Może jednak bywają czasami prorokami przyszłości — odrzekł Fryderyk skromnie, ale stanowczo na tę filipikę Gontarda.

Ten jednak zdał się nawet nie dosłyszeć jego słów i zawołał głośno:

— Zuzanno! proszę cię moja Zuzanno!

I przedstawivszy z pospiechem przybyszą swęj małżonce, wyszedł czempredzej do swych interesów, rad, że się pozbył tego kłopotu.

Dwoje ludzi stanęło w obec siebie, w całej pełni życia i dążenia, ludzi, nieznajomych sobie, a jednak znających się — oddawna...

Mężczyzna o Rafaelowskim wyrazie, duchowym niepokojem, istny Pelida, niewiasta kwitnąca wdziękiem, słodyczą i powagą. Melancholia i naiwna swoboda, rozum i prostota dziecka łączyły się tutaj w dziwną całość. Zdumieni, olśnieni sobą, długo stali w milczeniu — wymownem. Nieznośne bębny goniące się po pokoju, przerwały ciszę kilku chwil pełnych znaczenia.

— Jak widzisz, szanowny doktorze, otrzymasz tu surowy materiał do wyrobienia. Zadanie pańskie będzie trudne, ja czuję, że temu podołać niepotrafiłam...

— Tem lepiej... będę się czuł zasłużonym, jeżeli wychowanie tych dzieci mi się powiedzie — odrzekł Fryderyk. — Cierpliwość i przywiązanie cuda działają, zwłaszcza u dzieci. Zawsze lubiłem między niemi przebywać. Cały sekret, aby obcując z naturą dziecka, być także dzieckiem — i to niewidzialnie poważnym dzieckiem, nastrajającym umysł jego do uwagi. Któżby obojętnie mógł przejść obok tych nasion ludzkości?... W nich spoczywa przyszłość kraju, potęga narodu!... Co za zadanie, pośredniczyć w tej budowie, pomagać zrealizowaniu się w przyszłości, najpiękniejszych niekiedy ideałów, a przy tem pracować nad sobą samym, podawać im zasiłek ze skarbów własnej wiedzy, rozlać światło własne na cząstkę przyszłego pokolenia, jakieżże ofiary cel ten nie godzien!... Błoga ta nagroda, którą naprzód czujemy w samowiedzy naszej, niewielu bywa udziałem...

— Ten kierunek twórczy poznałam już w „Hymnach“ pańskiego pióra, które spotkałam w almanachu — odrzekła Zuzanna.

— Czy mogły zatrzymać uwagę pani?... Proste to objawy tęsknoty młodzieńczej, zarody myśli, z których kiedyś! może lepsze — jeśli nie większe, zdołam rozwinąć...

— Głos duszy walczącej tam słyhać — mówiła Zuzanna — kształconej na wzorach moich starych a zawsze młodych — Greków!... Pan jeszcze jesteś we więzach szkoły — rzekła poważniej — we więzach narodowości, fantazyi, panującej nad spokojną wiedzą, pan jeszcze jesteś idealistą.

— Z naszym Schylerem, — odparł Fryderyk — a pani chciałabyś nią nie być... Pani?!... — tu zamilkł.

— Jestem nią w obec codziennego życia, przyzwyczajęń, tego co często z niewłaściwą manierą obyczajem zowiemy, ale walczę z tem i często udaje mi się zwalczyć Demona.

— Ale to zwycięstwo za jakąś nagrodę! przerwał Fryderyk, — natury artystycznie usposobione, bywają „męczennikami fantazyi!”

— Kogo ukochali Bogowie — rzekła Zuzanna — tego udziałem wielka radość i wielka boleść bywa. Po cichym strumieniu żeglować nie sztuka, ale wtenczas, kiedy burza losu sercem naszym miota w otchłań morza bezdennej i wyrzuca je pod niebo — ta żegluga stanowi żeglarza!...

— A koniec żeglugi?

— Prawda, jasność, spokój — mówiła dalej Zuzanna — po drodze zapewne tracimy wiele, cośmy wynieśli w początku żeglugi...

— Trzeba umieć być żebrakiem w jej początku — odparł Fryderyk — by królem wylądować tam, kędy jest *terra firma*, bo — dodał zapalając się — czy wszyscy nie jesteśmy idealistami od kapłana Apollinowego — do lichwiarza? Życie swoje chce każdy ozdobić, zakwiecić, tak jak umie i może, przez bogactwo, użycie, zdobycz, sztukę i umiejętność — nawet przez sny i marzenia! Obraz doskonałości, ku której każdy zdąża, stoi przed nami, przeszłość i przyszłość farb nam używają, a najmniej jest takich, co się kontentują dniem dzisiejszym, obecnością... chwilą!

— Chwilą? — zamyślona z wolna odrzekła i spotkał się wzrok dwojga upojonych ludzi, stopił się i uzupełnił w sobie, świat zdał się wzniesionym ku niebu, a w pokoju było, jakby anioł przelatywał — tu znowu hałas czubiących się z sobą chłopców przerwał rozmowę... Przerwa mimowolnie pożądana, bo dwoje tych ludzi w gorącej rozmowie doszli szczytów przedmiotowości. Granica i powrót zaś równie nie do oznaczenia — a tak hałas dziecięcy zatrzymał pierwsze wrażenie na najpiękniejszej a zawrotnej i stromej wyżynie. Pożegnano się szybko — do jutra.

(C. d. n.)

RADZIWIŁŁ W GOŚCINIE

anegdota dramatyczna w 3. aktach

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Dokończenie.)

Scena VII.

BASIA sama, później SZCZUKA.

BASIA. (rzuca się na krzesło i płacze) Zgineliśmy, tak nasze chciały losy... spełni się co Bóg przeznaczył.

SZCZUKA. (wsuwa się oglądając nieśmiało, z rękami złożonemi) Panno Barbaro! lży wasze na moją duszę spadają — ja to jestem tego nieszczęścia przyczyną — Ja! Bóg widzi, że was ocalić chciałem i przejednac! Któż mógł przewidzieć taki koniec, zgodę taką!

BASIA. A! biedny mój stary ojciec...

SZCZUKA. Pani, jeśli was dotknie nieszczęście, wszak macie zagrodę moją, domek mój, wszystko, co się mojem zowie, waszem jest... Jam winien, ja niech pokutuję, a słodką mi będzie ta pokuta.

BASIA. Możesz że myśleć, iż ojciec mój od kogośkolwiekby co przyjąć zechce? całe życie strawił nosząc ubóstwo swe wysoko, i mnie nauczył wyżej cenić cześć niż szczęście... Ja pójdę do klasztoru, ale on! on!

SZCZUKA. Panno Barbaro! jeśli wy wyjdziecie z Wulki, ja za wami jak sługa wasz, choćbyście odpędzali, powlokę się jak pies wierny, bo ja bez was żyć nie potrafię. Jam tej zguby przyczyną, na mnie ratowania obowiązek.

BASIA. Nas już nikt nie uratuje (spogląda oknem) A! mój Boże! co się tam dzieje! Kupy owsa... beczki toczą... Dyplowicz lata, ojciec się krząta (płacząc) Zachciałeś Książę zjeść Wulkę biedną... niech ci lży moje będą na... zdrowie... (do Szczuki) Odejdź pan! Ojciec się gniewać będzie, gdy was tu zastanie — na co mu żółci dodawać!... Idź pan... żegnam go... żegnam... (podaje mu rękę, którą Szczuka całuje) Bądź zdrów! bądź zdrów na zawsze!...

SZCZUKA. Nie! stokroć nie! do widzenia, dziś, jutro... wszędzie i zawsze... (wychodzi — Basia pada na krzesło i zakrywa sobie oczy).

Scena VIII.

BASIA, DYPLOWICZ.

DYPLOWICZ. (wsuwając się) Za pozwoleniem czcigodnej panny Chorażanki — słoweczko malusieczkie — jedno zapytańko...

BASIA. (zrywając się) A! dajże mi waćpan pokój! (uchodzi do alkierza i drzwi za sobą zatrząska.)

DYPLOWICZ. Otóż to oni tak się ze swym zbawcą i dobrodziejem obchodzą! Czarna ludzka niewdzięczność! (ogląda się i zaciera ręce) Ale mi się nie szpetnie udało! Pan Bóg mi zesłał tego Radziwiłła. Choć ściśle biorąc, nie jestem obowiązany dać świecy na ołtarz... ale, niech już i w tem będzie moja strata — dam! dam świecę... To przecież interes! (myśli) Zkąd on wiedział, że stęchlizna? Prawda! owies zatechły, ale konie się na tem nie poznają. Wino — wodą podleję — trochę. Piwo kwaskowate, ale chłodzące... Interes nie bez kłopotu, ale zawsze dobry... Przecie raz sąsiada się pozbędę i dworek ten sobie zajmę... (patrzy po izbie) Nie zły dworek... Cale nie zły dworek!

Scena IX.

DYPLOWICZ, KSIĄŻE RADZIWIŁŁ (w szarej długiej opończy, z podniesionym kołnierzem, bicz w ręku, wchodzi po cichu się rozglądając — Dyplowicz poznawszy go, staje zdumiony i przerażony.)

DYPLOWICZ. A słowo się stało!... Książę! Książę tu i w takim stroju?

KSIAŻE. Cyt! cyt! panie kochanku! Nikt mnie nie poznał, bo i poznać nie byli powinni. Przyjechałem sam powożąc się jednokonną kałamaszką, panie kochanku, ażeby zobaczyć incognito, jak mnie też szlachcic przyjmować myśli, panie kochanku...

DYPLOWICZ. (*śmiejąc się*) Co Książę pan wyraża! Stopki Księcia całuje i weneruje...

KSIAŻE. Kurcewicz się, panie kochanku, suto i wspaniale sztyftuje... a mówili, że nic nie ma!

DYPLOWICZ. (*żywo*) Co on się sztyftuje? Czyż to on? Wspaniale! Cha! cha, Mości Książę! Czy Wasza Książęca Mość myślisz, że u niego co było? że on co miał? To hołysz! Dopiero jak się dowiedział, że Książę jedziesz z dworem, tak on do mnie, w prośby, w modły, ledwie żę po rękach nie całował... Dypciu! kochanie... ratuj! Bierz sobie Wulkę a dawaj im czego zażądają, ażebym wstydu nie miał...

KSIAŻE. A ty co na to, panie kochanku?

DYPLOWICZ. No cóż, co miałem zrobić? Człowiek nie kamień, zforsowany, naciśnięty, musiałem się zgodzić, choć z oczywistą stratą.

KSIAŻE. Proszę! proszę! oddał ci Wulkę, panie kochanku, aby mnie przyjąć?

DYPLOWICZ. A! oddał... ale to piaski... piachy!

KSIAŻE. Proszę! panie kochanku! I ty taki pocziwy byłeś, żeś wziął?

DYPLOWICZ. Przez miłość bliźniego! bo to borowina, błoto i nieużytki...

KSIAŻE. Wziąłeś, panie kochanku?

DYPLOWICZ. Wziąłem, Mości Książę.

KSIAŻE. (*po chwili namysłu*) Toś — kiep, panie kochanku.

DYPLOWICZ. Wolne żarty! dla czego Mości Książę?

KSIAŻE. Boś jemu dogodził, a mnie skrzywdziłeś, panie kochanku.

DYPLOWICZ. (*przestraszony*) Ja! Księcia Jego Mości?...

KSIAŻE. Tak! tak, panie kochanku! Skrzywdziłeś mnie... obraziłeś... Ja ciebie z bebechami w kaszy zjem, ty nicponiu, panie kochanku!

DYPLOWICZ. O Jezu miły! ale cóżem zawinił?

KSIAŻE. Jaktó? ty tego nie rozumiesz, panie kochanku? To ci piątej klepki braknie... Jakżeś ty tego nie pojął, że ja właśnie na to kroilem, tego pragnąłem, ażeby się ten dumny szerepetka wstydził... A ty mi jego wstyd, całą moją satysfakcję z rąk wydzierasz... panie kochanku, trutniu jakiś... Ja się na tobie mścić będę, póki życia!

DYPLOWICZ. (*pada na kolana i bije się w piersi*) Mości Książę! miłosierdzia, litości! rozkaż, mów, co mam czynić? Niech jego i z Wulką dyabli wezmą.

KSIAŻE. Co masz czynić? panie kochanku... Co? Czyż nie rozumiesz, tępa głowo! idź — co najprędzej! nim mój dwór nadciągnie, zabieraj nazad wszystko z dziedzińca do domu. Powiedz, żeś się oszukał, że umowę zrywasz, że nie chcesz...

DYPLOWICZ. (*plącząc*) To on mi w łeb palnie!

KSIAŻE. A jak ty mi tego nie zrobisz, co każe, panie kochanku, słowo Radziwiłłowskie, ja ci w łeb strzele... Idź, schowaj się, ludzi tylko poszlij, ażeby mi tu, panie kochanku, w pół godziny pruszczyzny owsa, kaławałka chleba, kropki napitku nie było. Słyszysz, panie kochanku? Tak Radziwiłł chce i każe. Od Kurcewicza się wywiniesz, ale odemnie nie! Ja takich jak ty zgnościłszy na powidełka do kieszeni chowam, panie kochanku!

DYPLOWICZ. (*drżąc całuje połe księcia*) Ojciec mój, dobroczyńco! miej litość nad nieszczęśliwym, nad żoną i dziećmi...

KSIAŻE. Przecież nie jesteś żonaty?

DYPLOWICZ. (*tkając*) Ściśle biorąc nie, ale właśnie miałem się żenić i mieć wiele dzieci...

KSIAŻE. Idź że mi zaraz, panie kochanku, a rób co kazałem...

DYPLOWICZ. A jak on w łeb palnie?

KSIAŻE. Nie trafi, panie kochanku — ja w tem, że nie trafi... idź że mi zaraz... (*wypycha za drzwi*).

Scena X.

KSIAŻE. (*rozglądając się*) Ubożuchno, aie schłodnie — a ten skurczy pałka Dypłowicz całaby mi był satysfakcję odebrał... Szczęściem, że się zapobieży, panie kochanku... Kurcewicz to dobra krew, którą muszę poszanować, panie kochanku! a za satysfakcję znowu kieszeń Radziwiłłowska beknie... Ale jużcić i Szczuka coś wart i ten stary zabijaka mi się podoba, choć goły, ale z fanaberyą... Gdzież się on podziewa? Nikt mnie tu nie przyjął, nawet pies nie zaszczekał. Nie poznali mnie, panie kochanku i nie przewąchali... To mi się raz w życiu udało!

Scena XI.

KSIAŻE (*chodzi przypatrując się*). CHORAŻY (*w progu alkierza — potem wchodzi do izby*).

CHORAŻY. Któż to mi się tak bez ceremonii wkwaterował, nawet opończy nie zdjawszy? (*Radziwiłł odwraca się*). A czy mnie oczy mylą!

KSIAŻE. (*klaniając się*) Nie, panie kochanku! nie mylą... Wybrałem się incognito do szanownego sąsiada, jak cesarz Józef do carowej Katarzyny, panie kochanku... Nie chciałem kniaziowi robić kłopotu, więc zaprząłem sobie sam kobyłę do kałamaszki i choć trochę kulała, panie kochanku, bo mi w Nieświeżu cała stajnia znosiaciwała i poochwyciała się — przywlokłem się do waszeczki — na te zrazy.

CHORAŻY. Mości Książę... bez żartów, proszę, bez żartów.

KSIAŻE. Ale bez żartów... panie kochanku... Widzisz asindziej — tego Wojewodę Wileńskiego ciągle nosić na karku zacięży w końcu i znudzi, panie kochanku... Zostałem go w domu i sam bez niego do pana Chorażego przywlokłem się. Każ że gotować zrazy i tak po szczeroci sąsiedzkiej daj mi rękę.

CHORAŻY. (*z ukłonem*) Ale zdala — Mości Książę!

KSIAŻE. Cóż to, panie kochanku, w domu własnym, na gościa i sąsiada się boczysz? to nie po polsku i nie po naszemu.

CHORAŻY. Owszem, radem mu z serca — lecz...

KSIAŻE. Słuchaj, Kniaziu Choraży, panie kochanku! Radziwiłł Wojewoda czasem miewa fonfry w nosie, ale ten co go tu dziś u siebie masz, ja ci ręczę, z flakami dobre człeczysko! (*Na stronie*) Muszę go zagadywać, póki się tam nie uprzątna, panie kochanku i nie zrobią com kazał. (*głośno*) Radziwiłła ogadali przed tobą niewinnie, panie kochanku — to przylepka choć do rany przyłożyć! Tamten Miecznik i Wojewoda, czasem sobie pobrykał, panie kochanku, ale jakże było po takich jak twój Dypłowicz nie jeździć?.. Ta paskudztwo jest, panie kochanku... Ja... jakim raz był... Gdzieżem to ja był?... panie kochanku?

CHORAŻY. Albo to ja wiem, gdzie Książę bywałś a kędyś nie bywał?

KSIAŻE. Ja, bo, panie kochanku, coś innego mówić chciałem... (*zastania mu sobą okno*) Bo to, widzisz mój Kniaziu, choć Wojewodę zamknąłem na klucz w moim

gabiniecie, w Nieświeżu, ale moja dwornia, jak się oparzy, że się on gdzieś im zapodział, panie kochanku, węchem, jak legawce za mną w trop przybiegną... A tego tam chmara, panie kochanku... głodne to... czy im choć jeść będziesz miał co dać?

CHORAŻY. *(spokojnie)* Znajdzie się.

KSIAŻE. Będzie tego pewnie ze trzysta koni, panie kochanku.

CHORAŻY. No — choćby czterysta...

KSIAŻE. A, to dobrze — bo ja dla siebie, panie kochanku, nie wiele potrzebuję; służąc za kuchnię u pani Gałeckiej, nawykłem do wszystkiego, ale ta moja dwornia, panie kochanku, więksi panowie, niż ja... I jedzą bestye każdy za czterech i piją za sześciu... a wybredne to!.. Co im pan Choraży dasz?

CHORAŻY. Co mam.

KSIAŻE. A cóż masz? panie kochanku! *(spogląda oknem)* bo ja tu coś, jakoś żadnych przygotowań dla tej szarańczy nie widzę.

CHORAŻY. Jak to? jak to?

KSIAŻE. Coś tam było... panie kochanku... garstka owsa i beczołka oliwy, czy coś? ale i to, pochwymano i pochowano, jak przed kozackim najazdem, panie kochanku.

CHORAŻY. *(cisnąć się do okna)* Jak to może być? Cóż to jest? Kto śmiał? *(patrzy)* Co się stało! Na rany pańskie, to ten wisielec Dyplowicz, ale ja go zabiję! *(Chce biec do drzwi, Radziwiłł go chwytając w pół, szamotają się, Książę go z obu stron w twarz całuje.)*

KSIAŻE. Bracie! Kniaziu! Choraży! słuchaj, panie kochanku! Koryatowicze z Radziwiłłami kolligaci, my krew jedna... pocałujmy się... a nie—to zaduszę... panie kochanku. Ja ciebie kocham, ja cię szanuję, ty gorąca pałka jesteś, jak ja, ale dobry człowiek. Słuchajno i nie rwij się — bo zaduszę!

CHORAŻY. *(usiłuje się wyrwać)* Książę Wojewodo — wstyd mi i hańbę uczyniono!

KSIAŻE. Żadnego wstydu, hańby żadnej, panie kochanku. Cześć ci i sława! Spełniło się to tylko, co każdego dnia w psalmie odmawiamy:

„Ty oczyma swemi
„Ujrzyś pomstę nad grzesznemi.“

Przekonasz się, panie kochanku — posłuchaj. Dyplowicz Ci Wulkę chciał zagarnąć, dając mi ją do zjedzenia, ale ja krwawicą moich kolligatów się nie żywię — ja, nie wilk, panie kochanku. Zobaczysz jak się to miśternie skończy. Jużemy się — choć z forsą pocałowali, teraz — zgoda!.. Z całym dworem jedziemy na śniadańko do Dyplowicza — on mnie musi przyjąć... tylko... chwileczkę jeszcze...

CHORAŻY. Ja nic nie rozumiem...

KSIAŻE. E! ja to sobie tak plotę. *(na stronie)* Musieli się przecież uwinąć? *(głośno)* Panie Choraży, miałbym jeszcze do was prośbę. W swoim domu nie się nikomu nie odmawia.

CHORAŻY. Jeżeli w mojej mocy.

KSIAŻE. W twojej, panie kochanku... ale daj mi słowo honoru, że to uczynisz?

CHORAŻY. Uczynię, jeśli w mojej mocy.

KSIAŻE. W twojej mocy, panie kochanku, nie gniewać się i pobłogosławić...

CHORAŻY. Pobłogosławić, kogo?

KSIAŻE. Bo to, widzisz, ja ci figla spletałem, panie kochanku... przyjechał ze mną ksiądz, pocziwy mój Wyhowski i pannie Barbarze ślub dał ze Szczuką.

CHORAŻY. Gdzie? jak? na miłość bożą! *(chce biec, Książę go wstrzymuje.)*

KSIAŻE. To darmo! już się stało! Wzięli ślub naprzeciwo, gdy ja tu pana Chorażego durzył... panie kochanku. *(ściska go)* Nie gniewaj się... Szczuka dobry człek i karmazyn... Jesteśmy z nim w kolligacji a bardzo majątny — kto wie czy nie majątniejszy ode mnie, bo ja wiecznie goły jestem i grosza przy duszy nie mam.

CHORAŻY. Ale moja córka, Mości Książę...

KSIAŻE. Posłuchajcie — Szczuka mi dał pięć tysięcy dukatów gotówką i puściłem mu trzy wsie w Słuczczyźnie zastawą. Czego to goły nie robi?... Musiałem ślub dać w dodatku.

CHORAŻY. Bez mojego zezwolenia!

KSIAŻE. Ja rachowałem na to, że ty Radziwiłła gubić nie zechcesz. *(ściska go)* Nie gub Radziwiłła — oni się kochają... i my z sobą kochać się musimy.

Scena XII.

CIŻ, BASIA ze SZCZUKĄ trzymając się za ręce wchodzą, za nimi kilku dworzan Księcia, kłękając przed Ojcem i Księciem stojącymi razem.

KSIAŻE. A co? trzeba, panie kochanku, pobłogosławić, bo się gotowi obejść i bez naszego błogosławieństwa.

CHORAŻY. Basiu droga! *(ściska ją i błogosławi.)*

SZCZUKA. Przebac Ojcie!

CHORAŻY. Radziwiłłowi się oprzeć trudno...

KSIAŻE. Widzisz, panie kochanku — jak nie mogę siłą, to wezmę sercem... *(Ścisną się — podrzuca czapkę do góry. — Z dziedzińca słychać okrzyki i wystrzały moździerzy — wpada Dyplowicz przerażony.)*

A teraz, panie kochanku, chodźmy zjeść Dyplowicza, bo trzeba, żeby ktoś za nasze grzechy odpokutował!

GŁOSY. *(za sceną)* Vivat!

K o n i e c.

PRZEGLĄD LITERATURY DRAMATYCZNEJ.

Słowa te piszemy w bezpośrednim, praktycznym celu nie mając pretensyi, aby obraz był pełnym i uchodził za rodzaj literackiego studyum. Są to tylko pobieżne przypomnienia wrażeń, jakie odbieraliśmy przeglądając nowości dramatyczne ostatnich czasów, tak polskie jak zagraniczne. Wrażenia te powtarzamy sobie dziś właśnie w pamięci, bo jest to, jak powiadają, chwila odrodzenia się lwowskiej sceny. Otóż pragniemy osobom układającym repertoarz przysłać ułatwić zadanie, wskazując na ważniejsze pojawy z ostatnich lat w tej dziedzinie.

Jakkolwiek bowiem wiele do zarzucenia mieć należy ustępującej dyrekcyi, to jednak sumienna bezstronność przyznać musi, iż repertoarz bywał wcale obfitym w nowości tak własnej, jak i obcej muzy dramatycznej. Wiele przedstawiono rzeczy cennych, ale też wiele pominięto; aby przedstawić wszystko, nie było ani czasu, ani sił, ani znajomości przedmiotu. Uzbierała się więc w szeregu lat wcale spora wiązanka cennych, u nas nieznanych kwiatów, — i na nie tu chcemy wskazać. Zaczniemy od literatury własnej.

Koziebrodzki, Fredro syn, Starzeński, Bałucki, Urbański stanowili zastęp młodych pisarzy mniej lub więcej utalentowanych, których utworami wyłącznie publiczność ostatnich czasów zachwycała lub oburzała bywała. Inni autorowie byli bądźto pomijani zupełnie, bądź rzadko tylko ich słowu dano przemówić ze sceny. A zasługują na to. Poetą dramatycznym w tego słowa wyższem pojęciu jest bezsprzecznie Józef Szujski, jakkolwiek napisał parę rzeczy bądź nieuwzględniających scenicznej formy („Królowa Jadwiga“), bądź rzeczywiście nie posiadających istotnej wartości („Adam Śmigieński“). I pomiędzy utworami jednak nie dla sceny pisanymi wyziera bardzo znacząco po nad poziom zwykłości pomimo błędów kompozycji i braku pewnej łączności organicznej w powiązaniu szczegółów, dramat jego „Twardowski“, który jakkolwiek ma zakrój obrazu alegorycznego, skupia w licznych epizodach wiele dramatycznego życia, bystrej charakterystyki i rzadkich zalet w dykcji. Delikatna poetyczność całego pomysłu łączy się tu z głębią tak, że dramat ten na scenie pod każdym względem budzić może wielkie zajęcie. Już zaś wcale sceniczną jest tragedia tegoż autora: „Zborowscy“; nie wahał się nazwać jej utworem znakomitym, wyjąwszy nie-naturalne zakończenie, które po „Egmoncie“ Goetego i „Naręczonych z Aragonu“ Michała Beera przestało być w pomysł nowością, a nie było nigdy psychiczną prawdą. Koloryt wieku jest tu tak wiernie ujęty, historyczność przegląda tak wyraziście z każdego szczegółu obrazu, świadcząc o gruntownych studiach autora nad epoką a nie tamując swobodnej pracy fantazyi, charaktery Krzysztofa i Samuela Zborowskich, Jana Zamojskiego i pomniejszych tak jędrne i typowe a zgodne z wyobrażeniem, jakie nam o nich przekazuje historia, że doprawdy „Zborowscy“ wymagają konieczności wprowadzenia na scenę, gdzie plastyka duchowa tych postaci tem kształtniej się wyraziła.

Po Szujskim uważalibyśmy utwory dramatyczne Adama Belcikowskiego za godne wszelkiego szacunku w obec sceny. Ponieważ we Lwowie żaden z nich dotąd nie był przedstawionym, chcemy tu o nich dłuższe powiedzieć słowo. Komedyi „Dwaj Radziwiłłowie“ nie znamy; dramat historyczny „Adama Tarłę“ uważamy za utwór chybiony, nie mający ani żywiołów prawdziwie dramatycznych w akcji, ani siły w charakterystyce, ani archaizmu chwili dziejowej, ani poetyczności języka, chociaż ujętego w rymy; ale tem wyżej za to cenimy jego komedię historyczną „Król Don Żuan“ i dramat „Hunyadi“; dlatego o nich szerzej.

Komedia „Król Don Żuan“ wprowadza nas na dwór Augusta II, pełny wersalskiej galanterii i naśladowanych miłości Trianonu. Ludwik XIV był słońcem tej epoki i zjawiskiem na tle ówczesnego pojmowania życia tak świetnem, że dążenia wszystkich monarchów współczesnych jednoczyły się w myśli dorównania mu w sztuce polityki i buduaru. „Pomiędzy Tytanami szturmującymi do siedziska Olimpijskiego Jowisza“, jak mówi autor w przedśłowiu, był i nasz August II. Na jego dworze wyrastały także wszelkie namietności, wszelkie dyplomacye białych ramion, wszystkie intrygi kobiecych wpływów. Ale Ludwik XIV mimo rządu kobiet był człowiekiem o szerokich widokach umysłu i daleko sięgającej ambicji monarszej; na jego twarzy, wypiętnowanej Sybarytyzmem polyskiwało także piętno geniuszu. August II mniejszą posiadał miarę inteligencji, a nie skromniejsze zamiary; opanowany zupełnie przez kochanki, alabastrowi rąk ich powierzał rozwikłanie wielkich zadań politycznych. Twarz zaś jego wielka i otwarta, z pogodnym, uśmiechniętym wzrokiem, z róża-

nemi wargami, zdolnemi smakować rozkosze i podnosić się wspaniałą dumą, magnetyczny wpływ wywierała na kobiety. „Być pięknym, jak pogański bożek, i królem, to dwa tytuły do powodzenia u nich“. Filozofię takiego żywota przesuwającego się powłoką każdej myśli, a sięgającego tylko do głębi każdej rozkoszy, nazywa ktoś z osób komedyi: „równowagą ducha i materji, harmonią, która jest celem człowieka.“ W takim życiu, jak w rozdziale z powieści wschodniej, wszystko drwi z rozsądku, wszystko rodzi się z fantazyi i na nią umiera. Komedia p. B. jest cierpką i do najsztudniejszych zagadek takiego bytu sięgającą satyrą. Każdy krok uczyniony przez którąkolwiek z figur komedyi nie mierzy się tu miarą rozsądku i refleksji, ale grymasem fantazyi. Największe katastrofy polityczne są wynikami najblahszych przyczyn, igraszką obrażonej lub naprężonej namietności; wszelka treść i powaga życia ulotniły się w chaotyczny taniec uczuć, zacnych albo występnych; wszelkie względy płci i grandezzy monarszej pominięte, a przebieganie się królewskich miłośnic w oficerów gwardyi, nocne wycieczki króla do przedmiejskich winiarni, pojedynki i cały ten aparat romantyczno-awanturiczny, nie razi tu, ale są wielce prawdziwem, dobrze zrozumianem tłem czasu. Pośród tych igraszek jedyną miłość córki winiarza do króla, pomysłana fantastycznie ale poczuta szczerze, jest także wpłataną zrecznie w ten szereg urojeń fantazyi, jakeimi żyją wszelkie osoby tej komedyi, nie zwykłe się liczyć z wymogami rozsądku. A jednak całe życie swawolnej wyobraźni ulega wreszcie moralnemu ładowi świata. Z takich motywów osnuł p. B. komedię pełną werwy, silnych kontrastów i nakreślonych z talentem postaci. Kolizye przesunięte w tym kalejdoskopie awantur byłyby rżąciami, gdyby się snuły po innej kanwie; tutaj zaś są wierną fotografią prawdy. Tło więc komedyi jest wzorowo pomyslane i wyrzeźbione aż do najbliższych odcieni. Jest tu jednak więcej humoru i życia w sytuacjach, aniżeli w samym dyalogu, który częstokroć bywa płaskim i bezbarwnym, a najczęściej pozbawionym cech kolorytu historycznego. Ponieważ zaś w dyalogu właśnie przejawia się najgłębsza treść charakterów, przeto i one mogłyby w ten sposób być przeniesionymi w każdą epokę bez popełnienia anachronizmu. W wszelkich zresztą sztukach swoich zdaje się p. B. zapominać, że każda chwila wśród dziejów kształtuje i wciśka w pewne formy swoich ludzi i swoje życie. Zresztą jest komedia p. B. w całości utworem wielce szczęśliwym jako dzieło sztuki i jako obraz smutnych stosunków.

Zupełnie innego rodzaju utworem jest tragedia 5-aktowa tegoż autora „Hunyadi“. Wprowadzeni tu jesteśmy na szeroki tor historycznego życia, a rzecz dzieje się w r. 1457 po bitwie pod Belgradem, w której wielki Jan Hunyadi śmiercią własną ocalił Węgry i chrześcijaństwo od najścia tureckiego. Bohaterem dramatu jest Władysław, syn Jana, a treścią smutne losy jego życia i uczuć, skierowanych ku bogatej dziedzicze węgierskiej Annie hrabiance Ronnow. Nie jest to romans powszedni, ale spleciony z motywami dziejowej natury, z politycznymi interesami kraju i walką stronnictw. Dlatego horyzont tego dramatu jest szerokim, a powiązanie czynników dziejowych z historią uczuć osobistych bardzo kunsztowne. Osoby działające są tu narzędziami ducha dziejowego, będącymi w służbie wyższych idei i moralnego porządku, a zarazem ludźmi, czerpiącymi w uczuciach i namietnościach osobistych najgłębsze motywy swoich dążeń. Dramat rozwija się prawidłowo, nie grzesząc ani przeciw logice poetycznej ani psychicznej, w obrazach wielkiej siły, jakkolwiek pozbawionej tu i owdzie prostoty. Nastrój

podniosły charakterów odpowiada godnie powadze akcji, w której nie dostrzegliśmy ani rozciągłości dyalogów, ani bezbarwności w sytuacjach; i owszem życie dramatyczne pulsuje w całym toku działania i skupia się w momentach ogromnej wyrazistości. Pisząc to mamy głównie na oku przydatność sztuki do scenicznego przedstawienia. Otóż widzimy w „Hunyadym“ szczególną plastykę charakterów, nadającą się wybornie do sceny. Cóż za bogactwo charakterystyki znajdujemy w postaci hrabiego Urbana, ile najdelikatniejszych odcieni duszy w Annie, ile heroicznej wzniosłości w Hunyadym, ile namiętnego cynizmu w Królu? Wszystkie te figury występują tu tak jasno i tak wybitnie, że odtworzenie ich sceniczne uważalibyśmy za najpiękniejsze zadanie dla artystów. Gdyby nie chodziło o scenę, ale o konsekwentne charakterystyki, może zapytalibyśmy autora, czemu Anna przez kilka aktów tai swą niewinność przed Hunyadym, kiedy wcześniejszem wyznaniem prawdy mogłaby uratować spokój jego duszy, a może i życie? czemu Hunyadi okazuje za mało energii

czynu i męskiej siły odporu, ulegając fatalizmowi wypadków itd.? ale w obec sceny są to usterki nazbyt wyszukane, — w obec wrażenia efektów tu pomieszczonych, w obec bogatej gry wewnętrznej, cechującej każdą postać, w obec siły w charakterach, poetyczności w całym ustroju rzeczy, jawiącej się szczególnie w języku pełnym ognia i polotu, jakkolwiek za jednostajnie patetycznym. Naturalnem jednak oddaniem ustępów, za nadto na szczudła wyśrubowanych można uprawdopodobnić dyalog, który zresztą na każdym kroku uderza obrazami niezwyklej fantazyj.

Obok tych dwóch utworów pana B. domagających się gwałtownie przedstawienia, wskażemy już tylko pobieżnie na dwie komedijki jego, z których pierwsza: „Nie jesteśmy sobie nic winni“, ma wiele wdzięku i zreczności w układzie, a druga „Wizyta pana Feliksa“ potężną dozę humoru i bogactwo komicznych sytuacji, mogących w teatrze wywrzeć pożądane wrażenie.

(Dok. n.)

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

FILOZOFIA. *Synpolski. Idea.* Bruksella. Dehu. 1871. Autor radzi zastąpić wiarę objawioną racjonalizmem i filozofią natury, nie posuwa się jednak w tym kierunku do zapatrywań skrajnych, pozostawiając w rzędzie pojęć i instytucji społecznych narodowość, rodzinę i własność.

— *Dühring dr. E. Kritische Geschichte der Philosophie von ihren Anfängen bis zur Gegenwart.* Berlin. Heiman 1872. Jest to pierwszy krok ku ocenieniu filozofii w jej rozwoju historycznym ze stanowiska dzisiejszych ścisłych umiejętności. W obec tak zmienionych podstaw krytyki występują też tu systemy Arystotelesa, Leibniza, Hegla, Schleiermachera i innych w zupełnie nowym świetle. Książka ta powitana została w Niemczech jako stanowiąca zwrot w metodzie opracowań historyczno-filozoficznych.

— *Quäbicker dr. Rich. Kritisch-philosophische Untersuchungen.* Zeszyt I. *Kant's und Herbarts methaphysische Grundansichten über das Wesen der Seele.* Berlin. Heiman 1872. Poddaje surowej i bystrej krytyce błędy obu tych systemów.

LITERATURA. Księgarnia p. K. Wilda upewnia przedpłacicieli „Zarysu literatury“ A. Kuliczowskiego, iż ostatni zeszyt tego dziełka w krótkim już czasie opuści prasę.

POEZJA. *Poezye Kaj. Węgierskiego* wyszły świeżo w Bibliotece klasyków polskich Jana Breslauera w Warszawie.

— *Niekrasów* wydał w języku rosyjskim przekład „Rękopisu Krółodworskiego“, obok pierwotnego tekstu podaje autor słowniczek, gramatykę staroczeską, obfite przypiski a w przedmowie opowiada dzieje Rękopisu Krółodworskiego i jego różnych wydań.

HISTORIA. *Chomentowski Wł. Stanowisko praktyczne dawnych niewiast.* Warszawa. Jaworski 1871. Nastąpi rozbiór.

— *Karłowicz Jan. Wyprawa kijowska Bolesława Chrobrego.* Poznań. Zupański. 1872. Nastąpi obszerniejsza wzmianka.

— *W. Obermüller* wydał dziełko p. n. *Zur Abstammung der Slaven—historisch-sprachliche Skizze*, w którym występuje z nowymi zupełnie poglądami na pochodzenie Słowian. Autor daje im w ogóle początek celtycki, a Polakom celtycko-tracko-sarmacki. Wyraz Slavus, Slavan pochodzi wedle jego zdania od celtyckiego luibh czyli Sluibh (późniejsze laub), po polsku: puszcza; wyraz ten brzmiał potem jako slab, slav, a w połączeniu z wyrazem an (człowiek) przeszedł w ogólną nazwę Slavan, Slov-an, człowiek puszczy (*Wieniec*).

— *P. Eustachy Tyszkiewicz* zamierza wydać odkryte przez siebie, niezmiernie ważne dla historii dokumenta: *Stefana Batoro dyplomatyczne rokowania ze Szwedami 1582.*

— *Oscar Testut. L' Internationale et le Jacobinisme au ban de l' Europe.* Paris. Lachaud 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Prawo postępu*, studium przyrodniczo-społeczne przez Ludwika Masłowskiego. Kraków 1872. Nastąpi wzmianka obszerniejsza.

NOWE PISMA. W *Poznaniu* wychodzić zacznie od 1go Kwietnia nowe pismo polityczne: „*Gazeta Wielkopolska*“ pod redakcją Dr. Kazimierza Schulca.

— W *Nowym Yorku* wychodzić będzie gazeta polska p. t.: „*Swoboda*“ pod redakcją Franciszka Tomińskiego. Z prospektu

wyjmujemy parę ustępów: „Pod względem wiadomości politycznych starać się będziemy, aby „*Swoboda*“ zawierała sprawozdania treściwe główniejszych wypadków, z wyjaśnieniem ich stosunku i wpływu na sprawę wolności i postępu, zwracając wyłączną baczość na czyny i usiłowania, z wyzwoleniem ojczyzny naszej styczność mające, jak również nam samym za bodziec do kształcenia się i poprawy służyć mogące.“

ODCZYT. W *Czytelni akademickiej lwowskiej* odbyły się w półroczu zimowym 1871 — 1872 następujące odczyty naukowe: „Oświata i równość społeczna“, „Nieomyślność papieska w obec katolickiego dogmatu i historii“ (dwa razy), „Adam Mickiewicz jako poeta narodowy“, „O wewnętrznych i zewnętrznych przyczynach upadku Polski“, „Mózg i dusza“, „Filozoficzne zasady prawa“, „O ekonomii sił w przyrodzie“, „Historyczny rozwój komunizmu“, „Dwa lata rządów króla Władysława na Węgrzech“, „Pojęcie szatana w historii“, „Obecny stan kwestyi socyalnej.“

TEATR. Skład przyszłego grona artystów lwowskiej sceny stanowią panie: Aszpergerowa, German, Hubertowa, Linkowska, Nowakowska, Rudkiewiczówna, Woleńska; panowie: Baranowski, Dębicki, Dobrzański, Hubert, Konarski, Kwieciński, Linkowski, Eadnowski, Nowakowski, Podwyszyński, Woleński. Układy toczą się jeszcze z panną Deryng, których pomysły dla lwowskiej sceny załatwienie uważa publiczność za wprost niezbędne, jakoteż z panem Wardzyńskim. Również nie wiemy, czemu nie dostrzegliśmy w powyższym wykazie pani Parznickiej z Krakowa i pana Rapackiego z Warszawy, o których stałem pozyskaniu dla lwowskiej sceny tylokrotnie nas zapewniano. Na gościnne występy przyjadą już w kwietniu panna Romana Popiel i pan Rapacki. Dyrektorami orkiestry teatralnej są pp. Szürer, Henryk Jrecki (z Warszawy) i Kozłowski. Widowiska sceniczne pod nową dyrekcją rozpoczną się w Poniedziałek Wielkan. (d. 1. Kwietnia) komedya Alex. hr. Fredry: „*Słuby panienskie*.“

— W *Krakowie* odegrano w Sobotę (d. 9. b. m.) komedye Moliery „*Lekarz mimo woli*“. — W *Poznaniu* przedstawiono tegoż dnia zapowiadanego długo „*Hamleta*“. W roli tytułowej wystąpił p. Woleński. Krytyka podnosi sumienną pracę artysty, której brak jednak należytego uwypakowania wszystkich odcieni charakteru.

Od redakcyi. Począwszy od Kwietnia będziemy umieszczać przy *Świcie* inseraty w osobnym półarkuszowym dodatku. Przyjmują takowe: we Lwowie Agencya *Czasu* p. Alex. Piątkowskiego, w Krakowie Agencya *Świtu* w księgarni p. J. Wilda, we Wiedniu p. A. Oppelik Wollzeile, 22 i pp. Haasenstein & Vogler, Neumarkt 11, w Paryżu Wny pułkownik W. Raczkowski Rue du Pont de Lodi nr. 1.

Opłata: za wiersz drobny (*petit*) 6 ct., oraz należytość stemplowa po 30 ct. za każdorazowe ogłoszenie.